TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"		DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"	
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie	$1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie	$2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi	1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi	2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 31. *Chicago, Ills., 27 Stycznia, 1887 r.* Rok III.

BOŻA OPIEKA

POWIEŚĆ

OSNUTA NA PODANIACH XVIII WIEKU

— PRZEZ —

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

— Czekajcież — odezwała się — co my tu będziemy przede drzwiami gadały, chodźcie ze mną do kuchni...

Po cichutku obie kobiety przeszły przedpokój.

— Głośno nie gadajcie — ostrzegła Maciejowa. — Chłopiec tu jest. Kanonik go sam uczy... ale jeźli go odbierać myślicie, to mu świat zawiążecie... On go na ludzi wyprowadzić może, jak już niejednego z łachmanów wyciągnął na Boży świat... Panu Bogu dziękujcie tylko,

— O! moja dobrodziejko! składając ręce zawołała wieśniaczka — już go ztąd brać nie myślę, grzechby był... tylko mi się za niebożątkiem stęskniło... a no, prawdą a Bogiem chciało mi się i gościńca przynieść, i koszulinę świeżą...

Maciejowa pokiwała głową.

— Toż w tem nic złego, ale my tu jemu z głodu, ani z nędzy przepadać nie damy... bądźcie spokojni.. O chłopcu ja nie zapominam, je do syta, i bielizna mu się popierze,.. i robactwu go jeść nie dozwolę,..

Hruzdzina aż ją w rękę pocałowała, dobyła szybko garnuszek z masłem, ser, kilka jaj i położyła je na stoliku...

— Przyjmijcież dobrem sercem, to się wam do kuchni przyda... a miejcie litość nad sierotą... A! Jejmościuniu... gdyby go jeszcze zobaczyć można...

— Czekajcie — rzekła Maciejowa ujęta podarkiem... na wasze stare nogi po schodach się drapać nie zdrowo... ja go tu zawołam...

— A no, moja dobrodziejko, i waszym też nogom czas odpocząć, a moje do chodzenia nawykły — zaśmiała się Hruzdzina.. — pójdę choćby po drabinie.

— Nie potrzeba chodzić, siadajcie i odpoczywajcie — odparła gospodyni — sztukę wam pokażę. — To mówiąc wzięła miotłę z kąta, podniosła ją do góry i uderzyła w pułap trzy razy... Wkrótce potem po schodach coś biedz zaczęło, i przez otwarte drzwi od sieni wpadł Janek do kuchni... Obejrzał się, spostrzegł tę, którą był nawykł matką nazywać, i wprost przybiegł do jej kolan; objęła go staruszka, i spłakali się oboje... Maciejowa poprawiła coś na kuchni, ale fartuchem też oczy ocierała...

Odłożyła wyjście na miasto... boć trzeba było dać się dziecku z matką jakby rodzoną wygadać. Maciejowa nawet uspokojona odeszła na stronę, aby im nie przeszkadzać, a Hruzdzina opowiadała Jankowi nie tylko co się we wsi działo, co ludzie gadali, ale i o tem że się jego opiekun zjawił cudownie, i o zostawionych przezeń talarach, i o żądaniu jego, aby mu dziecko oddano...

Janek się głęboko zamyślił.

— Człowiek ten — rzekł — sam mówił, że mi ojcem nie jest, a opiekunem też nie był, kiedy o mnie dziewięć lat nie pamiętał... A Bóg że go wie co ze mną zrobić zechce, kiedy ja uczyć się pragnę. Możeby zaprzągł do pługa i do ciężkiej pracy wołowej... Jaż się na żadną nie wzdrygam — dodał — ale mnie tu ciągnie... Nie dawajcie mnie jemu.., o! matko droga, nie dawajcie!

Tak właśnie i Hruzdzina myślała, spłakała się tylko staruszka raz jeszcze, i poleciwszy dziecko Maciejowej wymknęła się z domu kanonika... Już była na Floryańskiej ulicy, gdy przestraszona wielce postrzegła męża, który dnia tego wcale na targu znajdować się nie miał, przekradającego się drugą stroną. Łatwo jej było odgadnąć, że ją szpiegował, i w trop pospieszyła za nim, aby się przekonać, czy wprzódy za nią chodził. Hruzda pochwycony na uczynku zmieszał się nieco, ale baba miała nad nim długiem pożyciem ustaloną władzę, wiedziała też jak się z nim obejść... Udała, że nie rozumie, o co chodzi, i wesoło go powitawszy zaprosiła do szyneczku. Hruzda oprzeć się nie mógł.

— Słuchaj — rzekła mu przy pierwszym kieliszku — przyszłam do Krakowa księdza się zapytać, czy my sumiennie pieniędzy nam zostawionych użyć możemy, bom ich na sumieniu mieć nie chciała... Ksiądz rozgrzeszył, talary sobie weź, byleś ich nie przepił... stanie na parę koni... Gdyby się chłopiec znalazł — dodała — byłoby co innego... trzebaby może coś jemu z nich oddać, ale o tym biedaku wieści nie ma...

Hruzda popatrzył na nią.

— Cóż robić — rzekła kobieta — trzeba się zgodzić z wolą Bożą, niech go sobie sam szlachcic szuka.. a nam co do tego?

Hruzda głową potakiwał... Zdawało się, że chyba o schronieniu nie wiedział.

Nie był on wcale do rozmowy skłonnym na trzeźwo, a napiwszy się mruczał tylko, słowa z niego dobyć było trudno, śpiewał czasami, mówił mało. I tym razem kieliszek obracał... zasępiony...

— A to bieda — mruknął nareszcie.

— Z czem? — spytała żona.

— Ten szlachcic tu za naszemi plecami gdzieś musi być, bo go w rynku spotkałem...

— To go się zbędzie lada czem — szepnęła Hruzdzina — tylko sam już nie idź — ale razem...

Domawiali tych słów, gdy kuternoga w progu się ukazał, oczyma po szynku ich szukając...

— Otóż jest — rzekł Hruzda...

Kobieta podeszła sama ku niemu.

A, i wy tu! — rzekła uśmiechając się jakby po wódce, której nigdy nie piła.

— Cóż, chłopiec mój... znaleźliście, jest tu! hę? — począł nieznajomy.

— Gdzieby zaś miał być — żywo ofuknęła Hruzdzina — po coby do miasta szedł? On napewno do gospodarza gdzieś na wieś uciekł... A coby robił tutaj? Lubił gospodarstwo biedaczyna...

— Myślicie? — zapytał kuternoga, któremu się oczy zaiskrzyły, i zdawało się, jakby ten

domysł wielki ciężar zdjął mu z piersi. — Hej? doprawdy? tak myślicie?

— Toć pewno — jęła żywo mówić kobieta — ja go lepiej znam od was, bom go przecież wychowała... Jemuby do miasta iść i w głowie nie postało...

— A toćby rozum miał! — odezwał się jakby mimowolnie szlachcic. — No, a wszelako go szukać trzeba i tu i po wsiach, żeby marnie nie zginął...

Popatrzał jeszcze na Hruzdę, który melancholicznie kieliszek obracał, i zniknął.

— Juści raz muszę wiedzieć, co za jeden i zkąd go licho przyniosło... — mruknął do żony wstając Hruzda, — nie bójcie się, głupstwa nie zrobię, ale pojadę za nim w ślad i dopytam zkąd jest... a co zacz, że tak talarami sypie...

— Lepiej byś siedział... co ci tam — zawołała Hruzdzina... — Stary wszakże uparty, biczysko pochwycił, babę popchnął i wyszedł...

Szlachcic, który dla kulawizny swej pospieszyć bardzo nie mógł, jeszcze był niedaleko w tłumie, gdy Hruzda czapkę nałożywszy na uszy za nim się wysunął. Wziął go więc na oko i nie dając po sobie poznać że za kimś goni, wślad poszedł zdaleka. Opodal wprawdzie, ale nie tracąc go i chwili z oczów, dostał się Hruzda na Wesołą... Tu stał i jego wózek z koniem pod opieką sąsiada.... łatwo mu więc było, napatrzywszy, do której gospody wszedł szlachcic przygotować się do jechania za nim, gdyby wyruszyć miał z miasta. Dobrą jednak godzinę zmarudził czekając, nim się znowu ukazał.... a był nie sam.... z zajazdu wyruszyła naprzód bryka kryta, dostatnia, końmi czterema zaprzężona, z woźnicą i węgrzynkiem na kozłach, potem dopiero kuternoga na swoim wózku.... Chłop miał wątpliwość, czy bryka z wózkiem stanowiła jedną czeredę, ale właśnie na wyjezdnem wychylił się mężczyzna z wąsami ogromnemi do pasa z owej bryki, zagadał coś do szlachcica, który czapkę podniósł, wskazał mu coś ręką i ruszyli. Bryka i wóz należały więc do siebie, Hruzda wolniej trochę powlókł się za niemi.

Aby mnie tylko zadaleko nie zaprowadzili — rzekł w duchu.... — a no, wiedzieć taki potrzeba, z kim się ma do czynienia, choćby też dzień stracić przyszło....

Za miastem bryka poszła tęgiego kłusa.., chłop zaciął konia... zostawał jednak dobrze w tyle.... i na pierwszej mili z oczów ją stracił... Za karczemką nastał mrok, wszedł się dowiedzieć, którędy bryka z wozem poszła, bo się tam właśnie drogi krzyżowały, nikt jakoś ich nie widział. A że dzień był targowy, po drodze kolei i kutych śladów mnóstwo.... Hruzda zmiarkował, że z tego nic nie będzie.... a pogoń na chybił trafił byłaby daremną. Przeklął więc utrapionego kuternogę, zapił wódką sprawę i do domu nawrócił, trochę zawstydzony.... Z tego błąkania się zyskał tylko, że nad ranem dopiero zhasawszy konia w domu stanął i na pańszczyznę już wyjść nie mógł... Babę znalazł już przy garnkach odmawiającą pacierze ranne... i milczący powlókł się na swój siennik, przyznawszy, że nic nie wskórał. Włodarzowi trzeba było dać kurę w podarunku, aby do dworu za opuszczoną pańszczyznę nie skarżył. Tak się to jakoś upiekło....

— Zjesz licha! — rzekł uparty Hruzda — byleś mi się drugi raz nawinął, będę ja wiedzieć teraz, jak ciebie wytropić... poczekaj!

Gdy się Jankiem tak bardzo opiekowano, on nieboraczysko wcale o tem nie wiedział, na jedną tylko opiekę starej Hruzdziny, którą kochał jak matkę i pewien jej był jak rodzonej, rachując. Zresztą było mu u kanonika bardzo dobrze, o ile w położeniu podobnem być mogło. Maciejowa żadnego w życiu paupra z tych, którzy przez jej ręce przechodzili, tak stanowczo nie protegowała. Zwykle, gdy kanonik lubił którego, ona stawała w opozycyi lękając się, by go nie popsuł, przeciwnie, gdy do smaku mu

nie przypadał ona broniła. Są w sercach i humorach ludzkich tajemnice, a przekomarzanie się czasem stanowi duszną potrzebę. Maciejowa ze ścianą by się niekiedy kłóciła, gdy nie było z kim. Na ten raz wszakże co do Janka godziła się z profesorem, iż chłopiec był wielkiej nadziei. Tylko żebyś go Jegomość nie popsuł.... mruczała pod nosem zaspokajając sumienie. Chłopak umiał się akomodować i kanonikowi i gospodyni, co dotąd z żadnym się jeszcze nie trafiło.

Z ks. profesorem nie było to trudnem, bo lepszego serca nie znalazłbyś pod słońcem; Maciejowa w gruncie równie poczciwe kobiecisko miała temperament zgryźliwszy, trzeba się jej było czasem dać wygadać, wygderać i nie rozżarzać drażliwości, co Janek bardzo dobrze umiał. Wspomnieliśmy wyżej, iż ks. Hodowski jedną tylko miał siostrę, która była wcześnie za mąż wyszła za rządcę majętności pańskiej w Krakowskiem. Rzadko się ona wszakże dowiadywała do brata, wiedząc, że był ubogi, że kamieniczka jego niewiele była warta, a kapitału nie uzbierał żadnego, bo zwykle co miał, lokował na pauprach i ubogich krakowskich. Wszakże raz w rok na dzień urodzin ks. Hodowskiego przyjeżdżała regularnie siostra z mężem albo sama. Dzieci biedna nie miała. Działo się im dosyć dobrze, chociaż mąż nie był wcale miłym człowiekiem, a kanonik, instynktowy znawca ludzi, od pierwszego poznania szwagra wstręt do niego powziął szczególny, i chociaż to sobie wyrzucał, pozbyć się go nie mógł. Nieprzyjaciel wszelkich przesądów, profesor dla tego najbardziej miał na sumieniu ową odrazę do szwagra, iż ten był kuternoga.... a kanonikowi zdawało się, iż ulegał powszechnemu i niesłusznemu uprzedzeniu przeciwko nieszczęśliwym kulawym i kalekom... Za każdym razem spotykając się ze szwagrem ks. profesor starał się przemódz niechęć i wstręt, jaki czuł ku niemu, a przekonywał się po odjeździe, że się one jeszcze powiększyły. Siostra nigdy nie skarżyła się na męża, znać jednak było z ich obejścia się z sobą, iż niezbyt się czule kochali.

Dzień urodzin ks. kanonika przypadał we wrześniu, jakoś w parę tygodni po installacyi Janka na górze i zaciągnięciu się pod komendę pani Maciejowej. Oprócz rodziny, to jest siostry i szwagra, żywa dusza w mieście nie wiedziała o tej uroczystości, nikt nie przychodził winszować, i na obiedzie, z którym Maciejowa występowała, bywały tylko trzy osoby. W porównaniu wszakże do codziennego pokarmu kanonika, który był wcale nie wykwintny i głód tylko zaspokajał, obiad ten stanowił ucztę i na kilka dni najnieszczęśliwszą z istot na ziemi czynił panią Maciejową.

W wigilią wigilii, zaczynała się gryźć i przemyślać.

Co ja im dam... przeszłego roku była gęś, trudnoż znowu to samo, powiedzą, że u księdza gotować nie umiem... wezmą na języki.... a to na wsi rozpieszczone we wszelkich zbytkach.... bo ich tam ani kura, ani indyk nie kosztuje... w przeddzień obiadu Maciejowa, aby zrzucić z siebie odpowiedzialność, zwykle przychodziła kanonikowi przeszkodzić w pracy i wziąść od niego dyspozycyą... Wywołała go i tym razem z pokoju.

— Moja dobrodziejko... zawołał znękany przerwą w czytaniu Hodowski — na rany Chrystusowe, czego ty chcesz odemnie!

— Ależ przecie zobacz jegomość w kalendarzu, jutro urodziny, przyjadą ze wsi, trzeba dać jeść, niech kanonik zadysponuje...

— Co ja ci mam zadysponować! co! — zawołał Hodowski — czym ja kucharz? czym ja smakosz? czy mnie to nie wszystko jedno?...

— Tak, a potem powiedzą Maciejowa winna...

— Któż ci kiedy co powiedział?

— Już ja nie chcę dać złym językom powodu do oszczerstw... nie chcę. Dysponuj jegomość.

— Ale rób co ci się podoba...

— Dysponuj jegomość już od tego nie odstąpię...

Kanonik lubił kaszę na mleku.. pierwszą więc myślą jego była ta potrawa. Maciejowa zaprotestowała; narada trwała kwandrans, kanonik się upocił, stanęło na barszczu i pieczeni z rożna, oraz leguminie z winnym sosem; kucharka chciała dodać coś jeszcze ale ksiądz ofuknął.
— Co ty tu uczty Baltazarowe i Lukullusowe chcesz wyprawiać!...

Tem jej usta zamknął, gdyż oba te imiona przypominały mocy piekielne i brzmiały Belzebubem, skończyło się więc na barszczu, pieczeni i leguminie z winnym sosem.... Obrachowano jadło na trzy osoby.. Zwykle siostra i szwagier przybywali około dziesiątej, kanonik na

nich ze mszą czekał, odprawiał ją dla nich, a po powrocie około południa obiad podawano; tego, jednak dnia w godzinie zwykłej zamiast obojga przybyła tylko sama siostra, pani Brzeska....

— Daruje ksiądz brat, że mój mąż nie przyjechał — rzekła po przywitaniu — ma tam jakieś kłopoty i lata jak oparzony, jegomość się nim do wszystkiego wysługuje... a on też mu aż zanadto służy...

To mówiąc spuściła oczy i łzę otarła; kanonik zmiarkował, że tam w domu nie najlepiej iść musiało, ale nie mogąc na to radzić, nie chciał więcej pytać.

— Moja Tekluniu — rzekł wzdychając — odprawimy dzisiejszą mszę świętą na intencyą waszą... Pan Bóg miłościwy, może się tam poprawi.

Poszli wedle zwyczaju na mszę, a po niej Hodowski zaraz z siostrą powrócił na kawę do domu. Maciejowa na ten dzień Janka sobie skonfiskowała, przyodziała czysto i zapowiedziała mu, że posłużyć musi, bo ona razem w kuchni i około stołu być nie może. Janek był posłusznym... On więc przyniósł kawę zdumionemu kanonikowi, który nie bardzo lubił, gdy chłopca używano za posługacza, ale nie powiedział nic. Był to dzień wyjątkowy, Janek skorzystał ze zręczności i pocałował w rękę nauczyciela i dobrodzieja.

— Niech ksiądz kanonik pozwoli mi sobie złożyć życzenia, aby Bóg jak najdłużej w dobrem zdrowiu i szczęśliwości dla nas biedaków i zbudowania ludziom utrzymywać go raczył -- odezwał się Janek. Powinszowania wierszami nie nauczyłem się, bom go nie miał, sam nie napiszę, a nikt też mi nie chciał pomódz. Ze szczerego więc serca ślę westchnienie do Boga...

Chłopiec do kolan się zniżył i pocałował w ręce staruszka, który z czułością za głowę go ścisnął.

— Najlepsze to życzenie, co niewyuczone z serca płynie — rzekł — Bóg ci zapłać.

— A to już znowu inny pauper? — odezwała się po wyjściu Janka siostra do brata...

— Jeszczem takiego zucha nie miał — rzekł cicho kanonik mrugając ku drzwiom — boję się go chwalić, aby nie popsuć, ale chłopak wielkich, wielkich nadziei. Zrobię z niego uczonego... jeśli nie wyjdzie na łajdaka... bo z takich zdolnych to... albo król albo kapucyn... ba gorzej, jeniusz albo wisielec...

— Zkądże się to jegomości trafiło takie cudo? — zapytała siostra...

Sam pan Bóg mi je zesłał... szepnął ks. Hodowski... a teraz tylko mam nieustanną trwogę, żeby mi go los nienawistny nie odebrał...

— Mój Boże — westchnęła pani Brzeska — brat jesteś szczęśliwy, bo choć przybraną rodzinę, Bożą czeladkę, ubogich sobie przysposobić możesz.... a ja... a ja nie mam dzieci... w domu pustki.... Zapłakała nieboga.

— Moja siostruniu dobrodziejko — odezwał się Hodowski — coś ty mi dziś nie wesoła.... Podziel że się jak należy z bratem biedą twoją, może ci to ulgę przyniesie.... Co ci tam dolega.

— A! trudno to się z tego spowiadać, bracie kochany — mówiła kobieta — bo by trzeba los obwiniać albo tych, w czyich rękach losy nasze.... a to się nie godzi..

— Czyń tak, jak ci sumienie podyktuje — odpowiedział kanonik — lecz powinnabyś mi raz przecie szczerze wyznać jak ci na świecie jest.... możebyśmy co uradzili.

— Co tu radzić, panie bracie — szepnęła ze łzami Brzeska.... śmierć chyba jednym ratunkiem. Boleśnie to wyznać ale straszne życie moje. Młodą byłam, gdym wyszła za Brzeskiego, nie znałam ludzi, uboga nie miałam wyboru, trzebaż było chaty nad głowę i domu. Wprędce po ślubie poznałam wszakże, jak nieroztropny wybór uczyniłam. Na niczem mi prawda nie zbywało w domu, oprócz szczęścia. Człowiek był i jest ponury, dziki, chciwy grosza i dla niego na wszystko gotów.. Dostaliśmy służbę u bogatej wdowy po Wojewodzie... mającej jedno dziecię, ledwie w drugim roku będące, bo ojciec je odumarł, zaraz po urodzeniu. Zrazu dobrze nam było.... ale Jejmość kłopotom i procesom podołać nie mogła, młodo owdowiała, napłynęło więc konkurentów, za mąż iść musiała. Wdarł się tam o jej rękę szatan w ludzkiem ciele.... podskarbic koronny.... sławny z tego, że młodość po zagranicznych dworach i obozach przebujał i majątek znaczny stracił, tak że mu z niego tyle pozostało, co w powozach i koniach, wystawnym dworze.... i pono pałac w Warszawie. Familia Wojewodzinej bardzo była przeciwna jemu, wdowa też się

go lękała.... przecież jak zaczął chodzić, zabiegać, najeżdżać protektorów zwodzić, królewskiemi się listy zastawiać, na swojem prawie gwałtem postawił, poszła za niego.... Nim jeszcze się ożenił, nie wiem jak męża mojego sobie zupełnie ujął i z nim tak związał, iż mu głowy nadstawiając pomagał.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TRZEJ WĘDROWCY,

CHRZESCIANIN, ŻYD I TUREK

— CZYLI —

KTO W BOGU POKŁADA ZAUFANIE, O TYM MA TENŻE OJCOWSKIE STARANIE.

Powieść nader powabna i pouczająca.

— PRZEZ —

TOMASZA WIŚNIEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Ludwik i Jusuf rozważali długo, nakoniec i ci przyłączyli się do tamtych.

— Jestem urodzony w Knetworcie — mówił Jusuf — i jestem rzemieślnikiem pasotkaczem. Mam ubogich rodziców, którzy we mnie swoje pokładają nadzieję; mógłbym im może prędzej dopomagać, gdybym się pozostał w blizkości. Ale mam nadzieję, że się położenie moje w Ameryce znacznie naprawi, i nic mnie przeto od przedsięwzięcia mego oddalić nie zdoła. A gdy napiszę list do rodziców kochanych, że jestem zdrów i wiele zarabiam pieniędzy na tej nowej ziemi, jakże się wszyscy w domu radować będą, i spodziewam się, że się przestaną kłopotać o mnie, i tylko z niecierpliwością będą oczekiwali mojego powrotu.

Ludwik na to odpowiedział:

— Mam jakieś przeczucie, że i mnie czeka szczęście w tym nowym świecie. Żyjcie wesoło, szczęśliwie i zdrowo, moi kochani rodzice, opatrzność i łaska Boga niech będzie z wami i ze mną.

I wszyscy wędrowcy postępowali szybkim i wesołym krokiem. Najbliższym traktem udano się do portu, aby zamówiono okręt do Ameryki.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Zebit, Turek.

W okręcie przeznaczonym na podróż do Ameryki, znajdował się młody Turczyn Zebit. Powierzchowność jego była nader ujmująca i miał dar przypodobania się każdemu. Dla tych przymiotów pozyskał sobie przychylność u wszystkich. Zdawało się, iż należał do tak zwanych wyższych stanów, i że bogatych musiał mieć

rodziców. Można też było widzieć, że nie pierwszy raz taką podróż odprawiał, i że miał już nie jedno doświadczenie. Mówił mało, stał po większej części na pokryciu statka z perspektywą w ręku, i mało pokazywał chęci do zapoznania się z innymi.

Ludwik spoglądał ciekawie na młodego Turczyna, czuł niewymowny popęd ku ńiemu, ale nie miał śmiałości przemówić do niego. Po długiem wachaniu się, przystąpiwszy do Turka, tak go się zapytał:

— Lubisz zapewnie samotność?

Turek, który się właśnie przypatrywał z widocznem ukontentowaniem mnóstwem gwiazd pokrytemu niebu, odpowiedział:

— Niech nam sprzyja Ałach! czyli nie wiesz, że człowiek w samotności posiada najwięcej zdolności do wzniesienia serca swego ku Najwyższemu?

Ludwik na to:

— Prawda, ale podziwiam cię, żeś tak młody, a w tak poważne i nader głębokie zapuszczasz się rzeczy; lepiej niech serce zapragnie szczęścia, które nam ziemia gotuje.

— Wszakże i ty wierzysz w to, — rzekł Zebit, — iż i po śmierci żyć nie przestajemy; sądze przeto, iż każdy o temże życiu zastanawiać się powinien, iżby nie zapomniał o tym który jest nad nami i nad rajem naszym!

Pomiędzy innemi przytoczył Turczyn i następujące uwagi:

— Przychodzą chwile, w których człek nie zważa ani na wiek, ani na czas, ani na obyczaje i t. d. Człowiek jest to nader ułomna kreatura, a ułomności ludzkie są różne, tak jak ich nałogi. Najlepsze przedsięwzięcia nasze i zamiary rzucamy pod nogi w chwili obłąkania i złości. Dziś myślimy tak, jutro inaczej. Dziś mamy takie, jutro znowu inne wyobrażenia o rzeczach. Nawet w sprawach religii zmienność zdań zachodzi, i ztąd właśnie następuje, iż tu się ludzie tak, a tam inaczej modlą; iż jeden tak, a drugi inaczej wierzy.

— Wszyscy ludzie mamy jednak tylko jednego Boga niewidzialnego, — rzekł Ludwik, — a co się tyczy mnie i ciebie, to pomiędzy nami zachodzi różnica, iż ja mam zupełnie inne wyobrażenie o Jezusie Chrystusie i jego nauce od ciebie, i inne znowu o Mahomecie, waszym wielkim proroku.

Zebit oświadczył teraz Ludwikowi, iż jest synem Meussyna (*) w Szebas, jednem azyatyckiem miasteczku, gdzie z minaretu (**) meczetu (***) woła do prawowiernych: „jeden jest tylko Bóg i jego prorok Mahomed.

— Dobrze, szanowny towarzyszu, — powiedział Ludwik, — ale proszę cię, powiedz mi, w jakim celu podróżujesz?

— Dla pomnożenia moich umiejętności, — rzekł Turczyn, — znam już, co kupiec znać powinien, a teraz odwiedzam kraje, abym je poznał i nauczył się, który jest prawdziwy sposób, aby się stać istotnie szczęśliwym na świecie.

— Badania twoje są nader chwalebne, ale pytam się ciebie, — rzekł Ludwik, — czy podobna dopiąć tak pożądanego celu?

— Czemu nie, — odpowiedział Turek, — wszakże różne spostrzegamy usposobienia umysłowe w ludziach, różne widzimy u nich obyczaje, różne są ich działalności, a następnie i skutki ich działań są różne; to wszystko trzeba poznać, brać ze wszystkiego naukę, żyć podług niej, aby być szczęśliwym.

— A gdy pomimo to jednak szczęśliwym nie będziesz? — zapytał Ludwik.

— Ach! — rzekł Turek z westchnieniem, — to albo sam człowiek, albo ludzie temu winni.

Ludwik rzekł na to:

— Miły towarzyszu, chcesz być szczęśliwym, prawda, dużo można korzystać z nauki, którą bierzemy z postępowania innych; ale trzeba ci wiedzieć, iż szczęście istotne, o którem wspomniałeś, mieszka li w samym człowieku, w samym sobie szukać go powinieneś.

— I cóż tedy w człowieku mieścić się powinno, aby tenże prawdziwie szczęśliwym być mógł? — zapytał Zebit.

— Przedewszystkiem szczera i stała wiara w Boga, jednego, który jest w niebie, i miłość ku niemu, opierająca się na wszechstronnej miłości bliźnich naszych, wedle przykazań i nieoszacowanej nauki jego Posłannika, — odpowiedział Ludwik. — Gdy serce człowieka poznało te prawdy, czuje największe ukontentowanie, i szczęście, jakiego mu świat dać nie może. Wtedy niech się rzuca na niego co chce; żadne niebezpieczeństwo i największe nieszczę-

(*) Meussyni są publiczni obwoływacze Turków.
(**) minarety są wysokie okrągłe wieże.
(***) meczet nazywa się kościół mahometański.

ścia nie wzruszą go w ufności ku Bogu. Bogaty czy ubogi, poważany czy prześladowany, czy purpurą, czy łachmanem przyodziany, równego mogą zażywać szczęścia na świecie, skoro Bóg w sercu ich mieszka i żyje wedle prawa i nauki jego. To szczęście przenosimy w tym razie z tego na tamten świat, bo wiedzieć musisz, iż życie nasze po śmierci jest przedłużeniem teraźniejszego.

— Jak Ałach jest, — zawołał Zebit, — trafiasz mi mocno do serca, gdyż powiadasz, że tu i tam człowiek szczęście znaleźć zdoła; nie raz już wzmagały się we mnie powątpiewania, iż to tylko urojenie o owem prawdziwem szczęściu na ziemi.

— Bynajmniej, — powiedział Ludwik, — bo nawet najgorsze położenie zewnętrzne nie zamąci nam tej wewnętrznej szczęśliwości. Lecz chcąc być uczestnikiem szczęścia tego, potrzeba, abyśmy cnotliwe prowadzili życie i utwierdzili się w dobrem; nakoniec, abyśmy postępowali sobie tak, iżbyśmy byli zdolnymi do dostąpienia tejże szczęśliwości, do czego nas tylko jedyna i prawdziwa wiara poprowadzić może.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Rozbicie okrętu.

Kilka już dni płynął statek, a wiatr najpomyślniejszy poganiał go ku nowej części ziemi. Wędrowcy byli weseli i niecierpliwie oczekiwali wylądowania. Później zachmurzało się niebo i na wielki zanosiło się wiatr. I stało się, że raz o północy najokropniesza burza powstała, nawet sam sternik twierdził, że podobnej burzy sobie nie przypomina. Wiatr ogromny miotał okrętem na wszystkie strony, jak gdyby trzciną. Sternik nie wiedział już żadnego ratunku i począł rozpaczać. Strach niewypowiedziany opanował wszystkich. Im większe przed sobą widziano niebezpieczeństwo, tym mocniej wołano o ratunek do tronu Wszechmocnego, tym gorętsze zasełano modły o wybawienie z tej okropnej chwili, która groziła zatraceniem w przepaściach morskich. I każdy modlił się w swym języku.

— Ałachu, z wielkim twym prorokiem, wybawcie nas od zatracenia! — wołał Zebit Turek.

— Jehowa, ratuj nas! — modlił się Jusuf żyd.

— Boże! — rzekł Ludwik, — Ojcze wszystkich ludzi, jeżeli wola Twoja, oddal niebezpieczeństwo!

Wtem statek uderzył o skałę i rozbił się. W strachu i rozpaczy chwytał się każdy tego, co mu najpierwej przyszło do ręki. Jeden trzymał się kawała drzewa, drugi deski, trzeci belki i t. p. Każdy w nadziei, że się wyratuje.

Morze zaszumiało ogromnie.

Trzech z pasażerów rzuciło się do jednej łodzi. Bałwany morskie pędziły ją na tę i na ową stronę wielkiego oceanu. Byłto Ludwik, Jusuf żyd i Zebit Turek.

— Ufajmy niebu,— rzekł Ludwik: — ten który rozkazuje wiatrom i wały morskie łagodzi, widzi nasze utrapienie i nędzę; jeżeli wola Jego, ujdziemy niebezpieczeństwu i wystąpimy na ląd; jeżeli zaś Bóg inaczej postanowił, wtedy poddajmy się z chęcią jego wyrokowi i umierajmy w tej przepaści, która, jak mi się zdaje, nie jest straszliwszym dla nas grobem nad grób, jaki nam kopią na lądzie.

— Jehowa, Boże ojców Abrahama, Izaaka i Jakóba! — modlił się Jusuf, — jak wybawiłeś owych trzech mężów od śmierci w piecu rozpalonym i zesłałeś anioła, aby odpędzał płomienie od ciała ich; tak wyratuj i nas od zguby w tych zagniewanych bałwanach; wyciągnij ku nam wszechmocną twą rękę, iżbyśmy tak marnym sposobem nie ześli z tej ziemi.

— Ałachu! — wołał Zebit Turek, — któryś podczas ucieczki wielkiego proroka twego niewidzialną ręką twoją strzegł go i zachował od napaści na nieoszacowane życie jego, nie opuszczaj i nas w tej chwili niebezpiecznej, i zrządź łaskawie, abyśmy życie nasze ocalić zdołali.

I tak się modlił każdy według swojej wyobraźni, i miał ufność, iż modlitwa jego dojdzie do tronu Przedwiecznego, który się zlituje nad biednemi i wybawi ich od śmierci. Ale burza nie ustawała, a wiatr popędzał łódź z naszymi wędrowcami z największą gwałtownością co raz dalej.

Gdy się rozwidniło, ujrzeli w odległości ziemię. Znowu poczęli wznosić ręce ku niebu i błagali o litość, aby uszli tak przykrej i niebezpiecznej żegludze. Lecz musieli się poddać całkowicie dzikiemu elementowi; nie rozumieli

kierować łodzią, ale choćby i byli umieli, cóżby im to było pomogło, kiedy nie mieli ani wiosła, ani żadnego podobnego narzędzia w ręku. Coraz bliżej poganiał ich wiatr do brzegu. Już niedaleko byli od niego. Wtem widzą ogromny bałwan, pędzący prosto ku nim; już są na pół umarli, poty śmiertelne występowały na nich; przybliża się owa massa wody, ogarnia całą łódź, zalewa naszych trzech wędrowców, pędzi ich z wielkim szelestem i wyrzuca na ląd.

To było właśnie ich ratunkiem.

Długo trwało, nim nasi trzej towarzysze przyszli do siebie. Przelęknienie było wielkie, śmierć oczywista zajrzała im w oczy. Popchnięcie bałwana było nader gwałtowne, mniemali, że już giną w przepaści. Widząc nareszcie, iż się znajdują nad pustym brzegiem wód nieprzejrzanych, dziękował każdy Bogu za ocalenie od śmierci w wałach zagniewanego oceanu. Co się stało z innymi podróżnemi, o tem nie wiedzieli. Czuli, jak mocno byli osłabieni. Głód także dokuczał im mocno. Cóż mieli czynić w takiem położeniu. Po niedługim czasie ujrzeli wielkie i żyzne pola. Toż samo i drzewa z najpiękniejszemi owocami; potem widzieli winorośle, na których wielkie wisiały winogrona, a łąki obszerne, pięknemi kwiatkami upstrzone, ozdobny sprawiały widok. W odległości spostrzegli miasto z pięknemi domami. Urwali sobie owocu, najedli się do sytości, wypoczęli przez chwilę, potem udali się do miasta.

Przed miastem zobaczyli wielkie mnóstwo ludu na około jednego posąga. Ubior ludu tego był osobliwy. Przed posągiem robili różne giesty i tańczyli około niego i śpiewali. Dźwięk kilku instrumentów łagodził nieco to wrzaskliwe śpiewanie. Posąg był zrobiony z kruszcu, a wysokość jego przewyższała dwanaście razy wysokość średnego człowieka. Osóbka na nim będąca miała głowę czarną chustą zawiniętą, i najpiękniejsze wieńce zdobiły posąg od góry aż do dołu.

— Boże nam dopomóż! — rzekł Ludwik; — co tu widzimy, przekonywa nas, iż się znajdujemy w kraju pogańskim. Pytam się was, któż nas teraz zapozna z obyczajem tych ludzi; któż nam powie, jak się względem nich zachować winniśmy, aby w czem nie zbłądzić i nie narazić się na jakie znowu niebezpieczeństwo?

I przybliżając się coraz bardziej do ludu, mogli już wyraźnie słyszeć powtarzanie częste wyrazu: Upupachu! Upupachu!

Zatrwożeni wędrowcy stanęli spokojnie i oczekiwali końca tak nadzwyczajnego widowiska.

Wtem powstał między poganami wielki rozruch, w oka mgnieniu otoczono obcych i z wielkim krzykiem dano im poznać, ażeby się bez odwłoki z nimi udali do miasta.

Z miny poganów i giestów ich dorozumiewali się podróżni, iż im przeszkodzili w dopełnianiu swych powinności przed posągiem bożka ich Upupacha.

Przybyli nareszcie do miasta. Lud stanął przed wielkim i wspaniałym domem i zachował się spokojnie. Dwóch mężów uzbrojonych zabrali cudzoziemców do domu tego. Potem przyszli inni i zaprowadzili ich do osobnego pokoju, przestrzegając ich, ażeby się spokojnie zachowali i dalszych rozkazów oczekiwali. Biedni towarzysze spoglądali z trwogą jeden na drugiego, nie wiedząc, co poganie z nimi zrobić postanowią.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Król Ulin.

Po niejakim czasie wszedł do pokoju, gdzie się ci trzej biedaki znajdowali, mąż piękną i drogą szatą odziany. Mąż ten tłumaczył im, iż się znajdują u króla Ulina, któremu zdać mają rachunek ze swego postępowania względem wielkiego Upupacha, gdyż są obwinieni, iż mu należytego nie oddali poszanowania i chwały, której jest godzien. Taki występek, powiedział im, pociąga karę śmierci za sobą. Trzej wędrowcy zadrzeli od strachu na całem ciele, a mąż rozkazał im, żeby szli za nim. I przyszli do wielkiej sali. Od bojaźni nie wiedzieli, w którą mieli spojrzeć stronę. Sala była napełniona wielkiemi bogactwy. Wszystko jaśniało od złota, srebra i drogich kamieni. I było wyniesienie, a na nim stało krzesło, po większej części ze złota i srebra. Na tem krześle siedziała osoba z wielką powagą. Na głowie miała koronę ze złota i drogich kamieni. Był to król Ulin. Po prawej i lewej stronie stało dużo mężczyzn i niewiast w drogie szaty ubranych. W blizkości króla był tłumacz. Długo trwało głębokie milczenie, aż nakoniec król Ulin przemówił z tronu do całego zgromadzenia:

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

TATARZY.

(Dokończenie.)

— Nigdy — odpowiedział Żółkiewski — hetman Polski nie odda dobrowolnie żadnej twierdzy nieprzyjaciołom; ale ponieważ los sam tak zrządził, że Berszada spłonęła od przypadkowego ognia, możemy więc pokój podpisać.

W tej chwili wszedł do namiotu hetmana książę Zbarawski, twarz jego była blada, ale szlachetna, blada błyszcząca czynem wielkim, który wypełnił; powstał stary hetman na przyjęcie jego i ściskając mu po żołniersku rękę, rzekł:

— Tobie, mości książę! sto tysięcy rodzin zawdzięcza życie i wolność, Ojczyzna ochronę od poniżenia. Pokój w tej chwili podpisujemy.

— Nie tylko ja miłościwy hetmanie mam prawo do tych pochwał, które łaskawie udzielasz — odrzekł książę — ale wszyscy mieszkańcy Berszady, którzy z chęcią poświęcili swoje majątki dla dobra ogółu; a w tej chwili tułacze bez dachu, pokarmu i okrycia, błąkają się w stepie.

Poseł Skinder-Baszy odjechał uwożąc z sobą podpis hetmana, a na drugi dzień, to miejsce, gdzie stały namioty tatarskie, czerniło się tylko poorane od kopyt końskich.

Tak to dawni nasi Ojcowie nie wahali się chętnie poświęcić mienia i życia dla dobra ogółu.

Skończył pleban, a ludzie rozeszli się do głębi serca wzruszeni tem opowiadaniem i każdy dziękował Bogu za to, że nie żył w tych okropnych czasach.

(Koniec)

OJCIEC KAPUCYN

CZYLI

ZWYCIĘZTWO WIARY I MIŁOŚCI.

(Ciąg dalszy.)

Czytając list synowski, zdawała się Baronowa walczyć z najróżniejszemi uczuciami. Długo nie mogła oczu oderwać od pisma. Wreszcie odezwała się, mówiąc:

— Proszę mi powiedzieć z łaski swojej, gdzieś Pan poznał hrabiego Lesley!

— Pani! — odrzekł nieznajomy, — znam ja już tego pana od dawna. Pierwszą przecię moję znajomość zawarłem z nim w Paryżu. Później widziałem go we Włoszech, w klasztorze kapucynów.

Na te słowa bladły i rumieniły się lica Baronowej na przemian.

— Panie! — zawołała wreszcie z żywością.

— List ten pochodzi z rąk najniewdzięczniejszego syna; syna, który porzucił sławne nazwisko ojca swego a przyjął imię żebracze. Ten ci to syn okrył swych krewnych niesłychaną hańbą, a matce swojej ukrócił życia więcej, niż o połowę!

— Zadziwia mię to bardzo, — odrzekł nieznajomy z wyrazem przyzwoitego umiarkowania. — Żałuję, żem się podjął rzeczy, która Panią tak bardzo oburza.

Tu ukłoniwszy się z uszanowaniem, chciał wyjśc z pokoju.

— Za pozwoleniem, Szanowny Panie! — zawołała, przymuszając się do pokrycia swego gniewu. — Proszę, nie odchódź Pan! Mocnoś mię pan zobowiązałderęczeniem listu tego. Nie pozwolę więc, abyś gdzie indziej po trudach swej podróży miał wypoczywać. Ten zamek, wraz ze wszystkiem, co się w nim znajduje i co go otacza, miał należeć do tego, który Panu to pismo powierzył. Mogłażbym więc patrzeć obojętnem okiem, aby jego przyjaciel ztąd odszedł bez doznania gościnności za grzeczność swoją? Nigdy ja sobie równie nie postąpię, jak to on ze mną uczynił!

To rzekłszy, kazała nieznajomego zaprowadzić do pokoju, w którym zwykle znakomici goście stawali.

Nie mogła pojąć Baronowa przyczyny, dla której Grzegórz nie przez brata swego, lecz raczej przez przyjaciela do niej pisał.

— Jakaż zmiana musiała w nim nastąpić! — rzekła po chwili do siebie. — Jakiż cud musiał go nakłonić do przerwania tak dlugiego milczenia! Może dawniej nie pozwolili mu przełożeni pisać do matki swojej. Może też poznał swój błąd i chce się teraz poprawić! Lecz czemuż nie przybył sam jak mi to brat jego robił nadzieję? Dla czegóż nie nadmienił ani słówka o swoim powrocie? Próżno tu sobie podchlebiać! Już on zmarnieje w swojem zaślepieniu!

Przy stole musiał nieznajomy siedzieć obok Baronowej. Po nim zajmował krzesło młody Baron Torey, a dalej kaznodzieja kalwiński, będący dla wieku już na łaskawym u Baronowej chlebie. Po lewej zaś stronie siedziała obok niej małżonka młodego Barona. Z początku było czoło Baronowej zasępione. Lecz przypomniawszy sobie powinność miłej gospodyni, przymuszała się do wesołości i zaczęła gościa swego uprzedzać z wszelką grzecznością, czem dawniej tak ujmująco celowała. Powoli zwróciła rozmowę na Włochy i słuchała z ciekawością, co jej nieznajomy o sławnym tym i tyle wychwalanym kraju opowiadał. Biegłość jego w przyjemnem wysłowieniu się i stósowne, dobitne uwagi zjednały mu względy Baronowej, a szlachetne i miłe rysy jego twarzy, oraz ruch wspaniały i przyjemna powaga przyczyniły się do powiększenia w Pani Torey przychylności, jaką w niej dla siebie wzbudzał.

— Panie! — rzekła wreszcie po kilkochwilowem milczeniu, — ów kraj, który tak wysławiasz, stał się dla mnie największem nieszczęściem. W nim bowiem dwóch drogich mi synów postradałam!

— Pani! — odrzekł nieznajomy, — godny syn Grzegórz jest jeszcze dobrym Pani synem. Ręczę swą uczciwością za niego!

— Jakże? — odparła Baronowa z zadziwieniem. — Nie przystał że do Wiary papiezkiej i nie został że mnichem-żebrakiem? I jeszczeż go Pan usprawiadliwiać możesz?

Tu nagle zamilkła a po chwili zapytała go podejrzliwie:

— Możeś Pan także zwolennikiem Papieża?

— Jestem k a t o l i k i e m, — odpowiedział spokojnie nieznajomy, — to prawda, lecz zdaje mi się, że katolicka religia nikogo ani upodlić, ani zepsuć, ani potępić nie może!

Rysy Baronowej zmieniły się i dały poznać, że te słowa nie miłe na niej zrobiły wrażenie. Zamilkła przecie. Kaznodzieja bowiem kalwiński spojrzał na nią z pewnym ostrzeżeniem. Ona zaś uśmiechając się z przymusem, rzekła w końcu:

— Przestańmy mówić o wierze! Niech każdy żyje według swej religii. Co do mych synów, sądzę mieć prawo do nagany za ich tak niegodziwe postąpienie sobie, oraz do ukarania ich w miarę wykroczenia! O Panie, ów niecnota, którego Pan swą przyjaźnią zaszczycasz, nie przestał na tem, że sam wiarę rodziców swoich porzucił, lecz uwiódł jeszcze brata swego do wzgardy onej. Dziwno mi istotnie, że go jeszcze nie przynękał do obrania stanu tak dla mnie znienawidzonego!

— Przepraszem Panią, lecz muszę powiedzieć, że mylnie Panią w tym względzie uwiadomiono. Stan, w oczach Pani tak wielce upo-

dlający, umieją katolicy wszystkich narodów cenić bardzo wysoko! Najznakomitsi panowie pragną częstokroć być do zakonu przyjętymi. Mogę Pani nawet niektórych wymienić. Na przykład Henryk Zoajes, potomek z rzędu najpierwszych we Francyi domów, jest teraz kapucynem i chodzi z radością w grubem odzieniu, równie, jak najniższy klasztorny braciszek! Bawiąc długi czas we Włoszech i we Francyi, miałem sposobność obznajmić się z istotą różnych zakonów, a nie widzę żadnej przyczyny, czemubym miał być względem Pani obłudnym. Sam temi oczyma patrzałem i sam teraz....

— Dosyć, dosyć mój Panie! — przerwała Baronowa. — Moje zdanie jest uzasadnione. Co do wiary, przestaję na przekonaniu, że moja religia niezawodnie mię zbawi!

Te słowa podobały się kalwińskiemu kaznodziei, tak, że to rozweseleniem twarzy i lekkiem głowy skinieniem przywtórzył. Nieznajomy zaś siedział niby obojętnie. Lecz jego nagłe zamilknienie spowodowało Baronową do nadania mowie toku innego. Pomimo upewnienia gościa swego o wierze, nie przestała go zaszczycać wszelkiem uszanowaniem, na jakie on w jej oczach zasługiwał. Korzystał też z najmniejszej okoliczności, aby oczembądź mówić, a to właśnie Baronową bawiło. O ile mógł, zwracał zawsze mowę na Grzegorza. Nie nazywał go nigdy Archaniołem, z obawy oburzenia jej tem na nowo. Powtarzał z przyciskiem, że Grzegórz ciągle jest pełen synowskiej miłości i powinnego dla matki uszanowania, że sam był świadkiem jego dla jej smutku i zmartwienia. Wreszcie dodał, że wola Bozka nie może zależeć od przywidzeń ziemskich i że sposób myślenia jest swobodny, nie zawisły od wszelkiej ziemskiej potęgi.

Dostrzegłszy dnia pewnego nieznajomy, iż się Baronowa po podobnej rozmowie zaczęła rozżalać, przerwał milczenie, mówiąc:

— Jestem przekonany, że gdyby teraz Grzegórz stanął przed Panią, bez wątpieniaby mu Pani przebaczyła. Nie prawdaż?

— Nigdy w życiu! — odpowiedziała Baronowa z uniesieniem. — Dopóki w swej strasznej chodzić będzie siermiędze, nigdy mu nie przebaczę!

— Lecz gdyby w świeckim przybył ubiorze i rzucił się Pani w objęcia? — zapytał znowu nieznajomy.

— Możebym go przyjęła w swe progi, — odrzekła Baronowa, — lecz tylko w nadziei, że się wreszcie da nakłonić do tego, czego ja najgoręcej pragnę. W kapucynie zaś uznać syna nigdy nie mogę!

— Jednakowoż, — rzekła po chwili milczenia dalej, z pewnem miłem na nieznajomego wejrzeniem, — jednakowoż muszę mu wybór przyjaciela pochwalić, przyjaciela, który tak gorliwie sprawy jego, chociaż złej, broni. O, gdybyś był tak zacnym, jak Pan jesteś! Ach, z pewnością by nie był zakrwawił serca swojej matki i nigdy się nie opierał tylekrotnym jej zaklęciom!

— Mam ja z synem Pani, Grzegorzem więcej wspólnych przymiotów, niż Pani sądzisz! Mój sposób myślenia a jego jest równy i również życzę jak on, aby Bóg Panią wszystkiem pocieszał, co jej szczęście prawdziwe stanowi!

— Nie ma dla mnie szczęścia na ziemi! — rzekła na to Baronowa. — Miałam pociechę z Edwarda, lecz i jego straciłam. W chwili uniesienia kazałam mu stronić od zamku mego. Tuła się teraz po świecie a jednak nie tyle godny kary, co brat, który go uwiódł!

— Może się mylę, — rzekł nieznajomy — lecz mam pewne przeczucie, że Grzegorz wraz z Edwardem w Pani przyspieszą objęcia i że jeszcze państwo wszyscy szczęśliwymi będziecie.

Tak zawsze natrącał nieznajomy, zkąd Pani Torey coraz większego ku niemu nabierała zaufania. Pewna tajemna siła doń ją pociągała, i słodkie jego słowa wywierały na jej serce wpływ tem korzystniejszy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

Szlachetny nieznajomy usiłował jak najmocniej, aby Baronową dla jej syna Grzegorza lepiej usposobić. Wpływał on na to i przez różne grzeczności. Niech tu tylko choć jedna znajdzie miejsce!

Miał on ślicznego konia, który się młodemu Torey nadzwyczajnie podobał, a na którym tenże nie raz sobie na dziedzińcu harcował. Chcąc młodemu Baronowi zgotować niespodziewaną radość, prosił go przy upatrzonej spo-

sobności o przyjęcie onegoż jako zadatku swojej przyjaźni.

Młody Baron wzbraniał się być w tym względzie powolnym. Dar bowiem takowy był po krótkiej znajomości zewszechmiar za wielkim.

— Panie Baronie! — rzekł na to nieznajomy. — Nie przywykłem mówić bez namysłu i skutku. Skoro Pan wzgardzisz mym koniem, natychmiast puszczę go w świat, niechże służy, kto go ująć zdoła!

Na to odpowiedział syn Pani Torey:

— Jeźlić Pan tego koniecznie wymagasz, przyjmuję z podziękowaniem. Nigdybym bowiem nie mógł dopuścić, aby tak piękny, jak ten wierzchowiec, miał biegać bez pana i marnieć. Lecz proszę zarazem nie odmówić mi jeźli natomiast Panu innego z swojej stajni ofiaruję!

To rzekłszy, pobiegł młody Baron do matki i wychwalał wspaniałomyślność nieznajomego pod obłoki.

I Baronowa rozmawiała często ze synową swoją o pięknych przymiotach i cnotach przyjaciela, syna swego Grzegorza. Nie taiła się nawet przed nią, iż czuła pewną przychylność dla niego.

— Widzisz, moja córko! — rzekła razu pewnego, — otóż się aż tak dalece miłość macierzyńska rozciąga! Sama bowiem blizkość przyjaciela syna niewdzięcznego napełnia już me łono przywiązaniem!

Tak zajął Baronową nieznajomy miłem swojem postępowaniem.

Już szósty dzień upływał od przybycia onegoż do Monomusko. Wtem, gdy się z rana przechodził przed zamkiem, rzucił mimowolnie okiem na główną bramę tegoż gmachu. Tu zaczął sobie przeszłość przypominać. Dopiero sługa przypadkiem przechodzący przebudził go z głębokiego zadumania!

— Gdzież się podział gołębnik z nad owej bramy? — zapytał starca.

— Jużci mi lata słuch odebrały, — rzekł cichym i niepewnym głosem przechodzący. — Proszę, mów Pan do mnie głośniej!

— Pytam Was — zawołał silnie nieznajomy, — gdzie się podział gołębnik z nad owej tam bramy?

Mieszkając Baronowa w przyległym pokoju, usłyszała te słowa, a powodowana ciekawością, zkądby obcy człowiek mógł wiedzieć, że się tam kiedyś gołębnik znajdował, kazała nieznajomego do siebie poprosić. Skoro stanął w pokoju, podniosła się z krzesła, pospieszyła ku niemu i zapytała go mówiąc:

— Powiedzże mi Pan, ile też już dni u nas bawisz!

Zadziwiony takowem zapytaniem, odpowiedział nieznajomy z wyrazem pewnej urazy:

— Jużto temu dzień szósty, Pani Baronowa! Lecz właśnie też już chciałem podziękować za tyle łask tu doznanych i pożegnawszy się ruszyć dalej!

— Nie dla tego Pana pytałam, — rzekła Baronowa z przymileniem. — Radabym tylko wiedzieć, jakim sposobem można w sześciu dniach o rzeczach powziąść wiadomość, które już dawno żadnego po sobie nie zostawiły śladu. Gołębnik bowiem, znajdujący się kiedyś nad bramą, już dawno nie istnieje. Jeszcze świętej pamięci mój ojciec kazał go tam urządzić dla Grzegorza, a że tenże tak znikczemniał, dałam zamurować tę niecną pamiątkę, co mi wciąż syna niewdzięcznego przypominała.

Tu zbladły czerstwe lica przychodnia. Nie wiedział, co miał na to powiedzieć.

Dostrzegła Baronowa to zmięszanie i uczuła w swem sercu pewne poruszenie, którego przyczyny wcale odgadnąć nie mogła.

— Cóż to, mój Panie! — przerwała wreszcie. — Zdaje mi się, że swem zapytaniem niczego nie dotknęłam, coby Panu przykrość sprawić mogło!

Tu oczy nieznajomego łzami zaświeciły.

— Widziałem ja, — rzekł tenże z rozrzewnieniem, — ów gołębnik, nim jeszcze został zamurowany!

— Jakto! — zawołała Baronowa. — Jakież myśli tłoczą mi się nagle do głowy? Czybyś Pan był...

Dalej mówić nie mogła i oczekiwała raczej ciekawie i oraz z obawą spiesznej odpowiedzi.

Nie mogąc dość swych uczuć dłużej przytłumić, rzucił się do nóg Baronowej. Ta zaś podnosząc go, zawołała:

— Powiadaj Pan, powiadaj! Nie jesteś Pan może moim synem Grzegorzem?

Tu nawet odpowiedzi nieoczekując, zamknęła go w swoje objęcia i ściskała ze łzami serdecznie.

I jeszcze nie mógł nieznajomy przemówić słowa. Tak był rozczulony!

— Zaklinam Cię, — zawołała znowu Baronowa, przemów choć słówko w tej tak okropnej dla mnie niepewności. O niechże usłyszę, a usłyszę zaraz, żeś Ty moim synem Grzegorzem!

— Matko! — przemówił wreszcie nieznajomy, — jestem Twym synem, jestem Twym synem Grzegorzem!

Tu krzyknęła Baronowa przeraźliwie i omdlawszy straciła przytomność. Czemprędzej przywołał Grzegórz panny służące. Te zaczęły ją trzeźwić. Wreszcie przyszła do siebie. Teraz przywołano i młodego Torey wraz z małżonką, którym tak niespodziewana nowina wielką sprawiła radość. Na przemian ściskali serdecznie to brata, to matkę, winszując szczególnie Grzegorzowi wszelkiej na dziedzicznym zamku pomyślności. O jakże od dawna pragnęli tej chwili. O ileż to lat upłynęło, nim godzina szczęśliwego połączenia się, wybiła!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

HISTORYA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy.)

Tymczasem zbudowali Amerykanie małą flotę, która miała występować przeciw Anglikom na jeziorze Ontario. Na jeziorze Erie umieszczono także flotę składającą się z 9 okrętów i 34 armat. Anglicy mieli tam 6 okrętów z 63 armatami. W dniu 10 września 1813 r. spotkały się obie floty niedaleko zachodniego końca jeziora; powstała krwawa walka, w której Perry okazał całą zręczność doświadczonego admirała. Okręt jego Lawrenie został zaraz na początku walki kulami nieprzyjacielskiemi tak uszkodzony, że Perry z kilku towarzyszami musiał uchodzić. Marynarze jego byli po większej części zabici lub ciężko ranieni. Perry udał się na okręt Niagara, i nim utorował drogę przez flotę nieprzyjacielską, a reszta okrętów popłynęła za nim, sypiąc ogniem z armat na prawo i lewo, takie zadali Amerykanie Anglikom straty, że o czwartej po południu cała flota angielska się poddała.

Harrison natychmiast energicznie działać począł. Jezioro Erie znajdowało się w posiadaniu Amerykanów. Z Kentucky przybyło 4000 wolantaryuszów. Harrison udał się natychmiast w drogę do Madden, lecz Anglicy i Indyanie ubiegli

tymczasem. W dniu 29 września zabrał oddział amerykański Detroit. Poczęto natychmiast ścigać nieprzyjaciela i napotkano go w niewielkiej wsi nad rzeką Thames, 80 mil od Detroit. Tu stoczono krwawą bitwę, w której korpus angielski utracił większą część ludzi, reszta została wziętą w niewolę, zabrano także 6 armat, które Bomgayne podczas wojny rewolucyjnej utracił pod Saratogą, a które znów wpadły w ręce Anglików, gdy w Detroit Hull poddał się. Prostor sam zaledwie zdołał się ratować ucieczką. Zwycięztwo nad rzeką Thames było bardzo ważnem, gdyż Amerykanie uzyskali wszystko, co Hull był utracił, rozerwali przymierze Indyan z Anglikami i ukończyli wojnę na granicy północno zachodniej. Harrison rozpuścił natychmłast większą część wolantaryuszów, pozostawił 1000 ludzi w Detroit, i udał się w drogę do Niagara, aby się połączyć z armią środkową.

Zobaczmy co tymczasem czyniła armia północna. W lutym 1813 przeszedł oddział angielski po lodzie rzekę św. Wawrzyńca z Prenott do Ogdensburga. Pod pozorem szukania zbiegów, począł rabować i palić. Gdy więc Forsyth, major tamtejszych strzelców oddał wet za wet, wysiali Anglicy oddział złożony z 1200 ludzi do Ogdensburga. Wojsko amerykańskie tam się znajdujące musiało uchodzić z miasta, a Anglicy zabrawszy i zniszczywszy wiele własności, powrócili do Canady.

Jen. Dearborn nie mógł iść tamtejszej ludności na pomoc, lecz natomiast postanowił uderzyć na Fort miasta York (dzisiejsze Toronto) gdzie Anglicy mieli dużo zasobów. Z Lake Harbor wysłał 1700 ludzi pod jenerałem Pike, który wśród ognia Anglików i Indyan wylądował, tychże pobił i uderzył na warownię. W tej chwili wyleciała w powietrze prochownia. Jen. Pike został śmiertelnie raniony, lecz żył dość długo, aby się dowiedzieć o zwycięztwie Amerykanów. Pułkownik Pearce objął dowództwo i zajął miasto o godzinie czwartej. Po znacznem tem zwycięztwie wrócił Hote w dniu 1 maja do Sacketi Harbor, zkąd zrobiono atak na Fort Georgia, którego załoga uciekła po krótkim oporze. W nocy na 6 czerwca uderzyli Anglicy na obóz amerykański, zostali jednakowoż pobici, lecz zdołali wziąść w niewolę dwóch jenerałów amerykańskich: Chandlera i Windera.

Tymczasem nastała zmiana w administracyi wojskowej. Jen. Dearborn podał się dla podeszłego wieku do dymisyi, a jenerał Wilkinson zajął jego miejsce. Owczesny minister wojny Armstrong wypracował nowy plan wkroczenia do Canady. Plan atoli nie udał się. Po krwawej bitwie pod Williamsburgiem w której Amerykanie utracili 300, a Anglicy 200 ludzi, cofnęli się Amerykanie i udali się do leż zimowych. Tymczasem nadeszły niepokojące wiadomości od rzeki Niagara. Komendant w Fort George, jen. McClure, spalił w dniu 10 grudnia kanadckie miasteczko Newark. Anglicy zemścili się za to, bo wypędzili Amerykanów z Fort George i spalili Yongstown, Lewiston, Manchester (Niagara Falls) a później Black Rock i Buffalo (które wtenczas 1700 mieszkańców liczyło). Na tem się skończyła kampania 1813 roku.

Tymczasem zaszły inne wypadki na południu. Naczelnik Termush który w kilka miesięcy potem padł w bitwie nad rzeką Thames, zdołał pobuczyć Crecks'ow do powstania. Ci uderzyli w dniu 30 sierpnia na warownię Mimus nad rzeką Mabama, zabrali ją i wycięli w pień 400 mężczyzn, niewiast i dzieci. Milicya z Tennessee następnie udała się do kraju Crecks'ow. W dniu 3 listopada jen. Coffee na czele 900 ludzi, wyciął w pień cały oddział indyański składający się z 200 wojowników, z których ani jeden nie uszedł. Po trzech krwawych bitwach i mniejszych potyczkach obwarowali się Indyanie nad rzeką Tallaporsa. Tu uderzył na nich jen. Jackson (27 marca 1814). Przeszło 600 Indyan padło. Zwycięztwo to złamało potęgę Crecks'ow; kilku pozostałych naczelników z 300 wojownikami poddało się.

W r. 1813 stoczono także kilka znacznych bitew na morzu, które po większej części wypadły na korzyść Anglików pustoszących wybrzeże amerykańskie gdzie tylko mogli.

W roku 1814 mogła Anglia stawić więcej wojska na polu walki, gdyż olbrzym Europy Napoleon został zwyciężony i udał się na wyspę Elbę. Przysłano natychmiast do Canady 14,000 starych wypróbowanych żołnierzy Wellingtona i Amerykanie przysposobili się podczas zimy. — W dniu 30 marca stoczył jen. Wilkinans pod La Colle niepomyślną potyczkę, za co kongres odjął mu naczelne dowództwo, które oddal jen. Izard. W d. 5 maja przybyła flota angielska do Oswego. Przywiozła 3000 ludzi, którzy mieli zniszczyć tę warownię a zwłaszcza zabrać zasoby tam się znajdujące, lecz mała załoga amerykańska licząca tylko 300 ludzi stawiła opór tak zacięty, aż Anglicy utraciwszy 235 ludzi odpłynęli znów do miejsc zkąd przybyli. Amerykanie stracili 69 ludzi.

W dniu 3 lipca przekroczyli jenerałowie Scott i Replez rzekę Niagarę i zajęli kanadzką warownię Fort Erie, którego załoga się cofnęła do obozu jenerała Riall. Tymczasem nadbiegł jen. Brown, naczelny dowódzca armii amerykańskiej i w dniu 5 lipca stoczono krwawą bitwę pod Chippewa, w której Anglicy doznali porażki. Utracili 500 a Amerykanie 300 ludzi.

Angielski jen. Drummond, którego weteranów Amerykanie pokonali, poprzysiągł odwetować tę klęskę a ściągnąwszy wszystkie pułki, które nie były za nadto oddalone, natarł na Amerykanów, którzy się byli rozłożyli obozem w Bridgewater,

tuż przy wodospadzie Niagara. Bitwa (25 lipca) trwała od zachodu słońca aż do północy. Amerykanie utracili 856, Anglicy 878 ludzi. Pierwsi zostali panami pobojowiska, Brown i Scott zostali rannymi, dowództwo nad Amerykanami objął Ripley, który się cofnął do Fort Erie, i tam je oddał jen. Ganies. Drummond wyleczywszy się z rany obległ tę warownię. Podczas szturmu w dniu 15 sierpnia utracił 1000 ludzi; nadto wypędzili Amerykanie w d. 17 sierpnia Anglików z ich stanowisk. Drummond usłyszawszy że armia jen. Izard przybywa, cofnął się do Fort George, Amerykanie zaś zniszczywszy, Fort Erie, udali się na leże zimowe do Buffalo i Batavia.

Przypatrzmy się teraz temu co się działo w innej części stanu New York. Jenerał Izard opuścił w dniu 14 sierpnia na czele 5000 ludzi Plattsburg, udając się na pomoc jen. Brown, pozostawiając tam tylko 500 pod jen. Mallomb. Korzystając z tego i wkroczył jen. Prevost na czele 14,000 weteranów w granicę angielską. Tymczasem zaopatrzyli się tak Amerykanie jak Anglicy w małe floty na jeziorze Champlain.

Gdy armia jen. Prevost przybyła w dniu 6 września przed Plattsburg, cofnęła się garstka amerykańska na południowe wybrzeże rzeki Savana, aby tam stawić opór Anglikom. W dniu 11 września uderzyła flota angielska na amerykańską, podczas gdy wojsko poczęło strzelać do oddziału broniącego przejścia przez rzekę. Po zaciętej walce, która trwała 2 godziny i 26 minut, poddała się flota angielska. Na lądzie bito się aż do wieczora, lecz Anglicy nie mogli przemódz garstki amerykańskiej i jeszcze tej samej nocy cofnął się jenerał Prevost, pozostawiając swych chorych, rannych i bardzo wiele zasobów wojennych. Od 6 do 11 września, utracili Anglicy 2500 ludzi, Amerykanie tylko 121. Zwycięztwo wywołało niezmierną radość w kraju.

Tymczasem srożyła się walka nad wybrzeżem atlantyckiem. Wszystkie porty były zablokowane a w dniu 19 września wylądowało w Benedict 6000 żołnierzy angielskich pod naczelnictwem jen. Ross, jednego z najzdolniejszych oficerów. W Strigtown amerykański jen. Winder miał tylko 3000 ludzi i to samą milicyę. W dniu 14 sierpnia zostali Amerykanie pobici pod Bledesburgiem. Tego samego dnia wkroczył Ross do Washingtonu, spalił kapitol, dom prezydenta i inne budynki publiczne i prywatne, po czem się cofnął na okręty. Czyn ten wywołał wzburzenie nawet w Europie. Rossowi zachciało się jeszcze więcej wawrzynów i dla tego postanowił zająć Baltimore, gdzie dowodził weteran jen. Smith, który wraz z jen. Stricker zebrał wszystką milicyę w okolicy się znajdującą, (około 15,000 ludzi.) W dniu 12 września wylądował Ross na czele 8000 ludzi w North Point, 14 mil od miasta, podczas gdy flota popłynęła dalej, w celu bombardowania warowni Fort Henry. Ross biegł natychmiast naprzód, lecz spotkał przednie straże jenerała Stricker i w potyczce, która nastała, utracił życie, poczem objął dowództwo pułkownik Brooke. Po przeszło godzinnej walce, cofnęli się Amerykanie do miasta utraciwszy 163 a Anglicy 300 ludzi. Amerykanie spodziewali się powtórnie bitwy nazajutrz, lecz wojsko angielskie wróciło na okręty i odpłynęło.

Mniejszej wagi wypadki wydarzyły się także w Connecticut i Maine.

Wspomnieliśmy już o wyprawie jenerała Jackson'a przeciw Crecks Indyanom. Wynikiem jej było zawarcie traktatu, na mocy którego Indyanie odstąpili wielką część żyznego swego kraju, pozwolili Stan. Zjed. budować przez terytoryum swe drogi wojskowe i obiecali, że nie będą mieli żadnej styczności z Anglikami i Hiszpanami, lecz obietnicę swą złamali, gdy Anglicy się ukazali nad południowem wybrzeżem Stanów Zjednoczonych. — Flota angielska bowiem zajęła za pozwoleniem gubernatora Florydy warownię Pensacole, zkąd urządzili Anglicy wyprawę przeciw Fort Bower leżącemu nad zatoką Mobile. Major Lawrence tam dowodzący, bronił się tak mężnie przeciw zjednoczonym Anglikom i Crecks'om, iż pierwsi utraciwszy jeden okręt wojenny i wielu ludzi, musieli się cofnąć.

Jackson zaś zebrawszy 2000 milicyi i Chosteuw — Indyan udał się do Pensacola, zdobył to miejsce szturmem i wypędził Anglików, poczem wrócił do swej kwatery Mobile. Tymczasem okazała się flota angielska przed Nowym Orleanem. Jackson dowiedziawszy się o tem pobiegł natychmiast do zagrożonego miasta i przywołał wszystkich do obrony.

W dniu 14 grudnia zabrała flota angielska, złożona z 40 statków z 1200 ludźmi, pięć okrętów amerykańskich, przyczem Amerykanie utracili 40 ludzi, Anglicy 300. W dniu 22 grudnia wylądowało 2400 Anglików pod jen. Keane 9 mil od miasta, Amerykanie wpadli nocą do ich obozu, zabili 400 nieprzyjaciół i cofnęli się do silniejszej pozycyi utraciwszy 100. Poczęto się przygotowywać do bitwy głównej. W dniu 8 stycznia z rana jen. Peckenham dowodzący 12,000 Anglikami szedł na miasto; Jackson miał tylko 6000 ludzi. Ci dopuściwszy nieprzyjaciela na odległość wystrzału dali kilkakrotnie morderczego ognia. Wódz Angielski został zabity, a ludzie jego zostawiwszy na polu walki 700 zabitych i 100 rannych wrócili do obozu a później na okręty, Amerykanie utracili tylko 7 ludzi w zabitych i mieli 6 rannych. Zwycięztwo to Amerykanów ocaliło New Orleans od rabunku i całe południe od napadu nieprzyjacielskiego. W trzy dni po bitwie nadeszła wiadomość że został zawarty tymczasowy pokój.

(Dalszy ciąg nastąpi).